

tywy jakimi kierowały się kontrahujące strony, uznana była przez klasyków co do samej zasady za nieważną⁷.

Cytowane wyżej sformułowanie autora sugeruje, że stypulacja zawsze była zawierana w ten sposób, iż *causa* czynności pozostawała poza jej obrębem. Z tym poglądem można by polemizować. Wydaje nam się bowiem, że już w czasach klasycznych zawierano stypulację w ten sposób, iż jej *causa* wciągano do *essentialia negotii*. Jeżeli np. zawarło stypulację *ex emptione C mihi dari spondes?*, to ważność takiej stypulacji oceniano się nie tylko według tego czy ogólne warunki, pod jakimi zobowiązanie werbalne dochodziło do skutku, były dopełnione, ale także według tego, czy kontrakt kupna, który stanowił *causa* całego aktu, był ważny. Jeżeli kontrakt kupna był z jakiegokolwiek powodu nieważny, to nieważna była także stypulacja. Nie od rzeczy będzie tu zacytowanie Ulpiana, lib. *trigesimo quinto ad Sab. D. 23, 3, 21: Stipulationem quae propter dotis causam fiat, constat habere in se condicionem hanc „si nuptiae fuerint saecute” et ita demum ex ea agi posse (quamvis non sit expressa conditio), si nuptiae, constat, quare si nuntius remittatur, defecisse condicio stipulationis videtur*. Zdaniem Riccobono⁸ fraza *fiat — videtur* jest interpolowana. W tej postaci w jakiej tekst jest nam przekazany wynika zeń, że stypulacja *dotis causa* jest jakby warunkowa, że jeśli małżeństwo nie zostanie zawarte, zobowiązanie jest nieważne, gdyż *defecisse condicio stipulationis videtur*. Innymi słowy stypulacja jest zawarta *tacita condicione*. Ale nie to jest w danym wypadku najważniejsze. Dla naszej tezy pierwszorzędne znaczenie ma fraza początkowa: *stipulationem, quae propter dotis causam...* Taka stypulacja była kauzalna, a jej formuła przypuszczalnie brzmiała: *dotis causa C mihi dare spondes?*

Ten problem wymaga zresztą monograficznego opracowania. Stwierdzamy tylko, że za przedstawionym powyżej punktem widzenia wypowiedzieli się ostatnio zdecydowanie Kaser⁹ i Van Oven¹⁰.

O całości skryptu można powiedzieć, że jest próbą udaną. Szkoda tylko, że zabrakło jednej ręki która czuwałaby nad zachowaniem jednolitej terminologii, utrzymaniem odpowiednich proporcji pomiędzy poszczególnymi działami. Z cytowania literatury można było zrezygnować, gdyż studenci do literatury monograficznej, obcojęzycznej nie mają dostępu, a gdyby mieli, to wątpliwe czy znaleźliby czas by z niej korzystać. Zamiast tego można by częściej cytować źródła, które są zawsze cenną ilustracją wykładu.

HENRYK KUPISZEWSKI (Warszawa)

Stanisław Smolka, *Mieszko Stary i jego wiek oraz Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski piastowskiej*, Warszawa 1959, PWN, s. XXXII + 720 (fototypiczne powtórzenie wydania I *Mieszka Starego*, normalny przedruk *Uway*) + 11 tablic + 2 tablice genealogiczne i mapa na wklejkach.

Całkowicie podzielamy zdanie wydawcy *Mieszka Starego*, prof. Gieysztora, że z *Mieszkiem* tworzy jedną całość rozprawa Smolki z t. XIV *Rozpraw Akademii Umiejętności*. Jedno uzupełnia drugie i obie rzeczy dopiero tworzą całość.

A całość to niepowtarzalna. Znaczenie jej jest niezwykle wielkie i słusznie

⁷ Gaius 3, 103; D. 44, 7, 11; D. 45, 1, 38, 17; C. 5, 12, 9: a. 294; D. 50, 17, 73, 4. Por. do tego Peruzzi, *Istituzioni*, 2, 215, n.; Wesenberg, *Verträge zugunsten Dritter*; Coudert, *Recherches sur les stimulations*, s. 197 n.

⁸ Riccobono, *Stipulation and the Theory of Contract*, s. 196.

⁹ *Römisches Privatrecht*, 1, s. 452.

¹⁰ RHD, 26 (1958), s. 468, uw. 1.

zapewne rozpoczyna się od niej i od 1881 r. nowy okres w dziejach naszej nauki historycznej, który przyszedł po okresie Lelewelowskim od 1830 r. do 1881 r. Z drugiej strony nikt dotychczas nie nazwał tej całości genialną. Nie przeszkadzałyby wiek autora, który w 1881 r. liczył zaledwie 27, gdyż znamy w historii nauk genialne dzieła bardzo młodych autorów. Czuliśmy tylko wszyscy, że ogłoszenie owej całości za genialną byłoby przesadą. Młody autor przeniósł na grunt polski nauki „swego nauczyciela i mistrza” (jak pisze w dedykacji), Jerzego Waitza. ale równocześnie nawiązał jak mógł najściślej do tego, co zastał ze spadku Lelewelowskiego, po odrzuceniu przeżytej już teorii lechickiej oraz po zajęciu stanowiska właściwego kierunkowi monarchicznemu, zatem też po odrzuceniu teorii gminowładczej Lelewela. Może dzisiaj moglibyśmy sobie wyobrazić, że zadanie to nie było trudne, gdyby nie to, że równocześnie ze Smolką próbowali położyć fundamenty pod nową naukę historyczną M. Bobrzyński i F. Piekosiński. Przykład obu pokazuje nam, że można było stworzyć odmienne całości z pewnych składników starych i z pewnych składników nowych. Uznano powszechnie, z rzadko spotykaną jedno-myślnością, że całość stworzona przez Smolkę była najbardziej odpowiednia.

A wszystko to zrobił Smolka w taki sposób, jakby nie był monarchistą, widzącym dzieje Polski w świetle doktryny monarchicznej, jakby nie zamyślał przeciwstawić się czemuś dawniejszemu i tworzyć coś nowego. Wszystko u Smolki jest tak silnie stonowane, że powszechnie uznaliśmy to za wyraz pełnego obiektywizmu naukowego, który wówczas w okresie pozytywizmu i scjentyzmu uznaliśmy za najwyższy ideał nauki.

Było w tym chyba dosyć wpływu ze strony „nauczyciela i mistrza”. Zdaniem E. Fuetera historiografia Rankego była nastawiona na jego własną osobę, a jego metoda mogła wykształcić dzielnych filologów historycznych, nie zaś historyków. Dowodzi tego najlepiej główne dzieło jego ulubionego ucznia, J. Waitza. Przy wszystkich zasługach brakuje w nim prawie wszystkiego, czego moglibyśmy oczekiwać od dzieła historycznego. Waitz trwożliwie trzyma się wypowiedzi źródeł, a brakuje mu historycznej konstruktywnej wyobraźni, jak też zrozumienia życia politycznego. „Jego dzieło nie jest prawnicze, gdyż brak mu ostrych pojęć; nie jest historyczne, gdyż brakuje mu zrozumienia konieczności i potrzeb życia państwowego”. Nawiasem mówiąc, zdania cytowanego w całości nie uważamy za nadające się do ścisłej interpretacji. Zdaniem Fuetera, Waitz zestawiał sumiennie materiał i poddał go zewnętrznym krytyce, ale na tym przerwał. Kto rzeczywiste lub przypuszczalne sprzeczności źródeł chce przez to wyrównać, że składa to, co do siebie nie należy, w jeden nieostry obraz, ten nie wypełnił jednego z najważniejszych zadań historyka. Dla historii ustroju nie wystarczy samo filologiczne wczytanie się w źródła. Ranke nie darmo stale unikał właściwej historii prawa.

Metodę Waitza przeniósł na angielską historię ustroju William Stubbs. Jak Waitz, był także i Stubbs raczej uczonym badaczem niż historykiem. Zebrał materiał metodycznie i starannie uporządkował, ale nie przemyślał ani ustrojowo, ani historycznie. Oznaczonych sformułowań unikał prawie z taką safą konsekwencją, jak Waitz. Nie wychodzi z urobionych założeń nauki polityki. Osobiście był torysem o nastawieniu na High Church, ale to prawie nie wyraża się w jego sądach historycznych, które polegają na dość nieokreślonym, optymistycznym liberalizmie. To wszakże nie znaczy, że jest nieuprzedzony, przeciwnie — jak u Waitza — u podstaw jego przedstawienia znajdujemy dość wyraźne tendencje nacjonalistyczne lub „teutońskie”¹.

¹ E. Fueter, *Geschichte der neueren Historiographie*, wyd. III, Monachium-Berlin 1936, s. 488 n.

Tę krytykę obszernie przywołuję, gdyż sądzę, że (jak analogiczna krytyka ze strony Ch. B é m o n t a, *Rev. hist.*, t. 76, 1901, s. 462 n.) odnosi się w znacznej mierze również i do Smolki. Stanowi on po prostu polski odpowiednik Waitza i Stubbsa. Zapewne wszakże Smolka wywarł nieporównanie silniejszy wpływ na polską naukę niż tamci dwaj u siebie. Zachodzi też podejrzenie, że istnieją skłonności do idealizowania u nas samej postaci Smolki oraz jego metod. Zapewne jest to przejawem szerszych skłonności naszej nauki historycznej i naszego życia kulturalnego w ogóle w pewnym okresie do „mitologizowania” in plus czy też in minus pewnych osób i metod, jak również teorii. Np. niektórzy przejawiają zbyt wielką skłonność do narzucania ciemnych barw na dzieło Lelewela, a zbyt jasnych na dzieło Smolki. Wydaje mi się, że w tym okresie uważaliśmy za coś świadczącego o szczególnie wysokiej naukowości, gdy zdołaliśmy uniknąć jasnych myśli, a przez to i sprzeczności. W rezultacie — niech mi to będzie wolno oddać w nie nadającej się do ścisłej interpretacji impresji — pogrążyliśmy się jakby w swego rodzaju „smolkizmie”, to jest w zewnętrznie najsumienniejszej i najbardziej metodycznej pracy szkolnej, która wszakże nie wciąga nas całych w wysiłek, aby rozodrzczyć zasłonę kryjącą przed naszymi oczyma tajemnice przeszłości. To, co może było nawet zaletą u Smolki, staje się u niektórych z jego bezkrytycznych wielbicieli małostkową kalkulacją: bezpieczniej jest potwierdzać stare dogmaty, cały wysiłek obrócić na szkolną poprawność i w rezultacie utopić historię w nudzie martwych prawd, które nikomu nic nie mówią. Historiografia pozytywizmu miała naturalną skłonność do przyczynkarstwa i mikrologii, ale w tym procesie odduchowienia historii przypada wedle mnie jakaś rola też tym dwu pracom Smolki, które mamy właśnie przed sobą jeszcze pachnące farbą drukarską. Jestem przekonany, że to, co na przełomie wieku XIX/XX stanowiło pewną siłę, później, mimo utrzymywania dawnych standardów, poczęło się stopniowo chylić ku upadkowi, a dzisiaj chyba doszliśmy do punktu, gdy oczekujemy jakichś nowych sił ożywczych i nowych pobudek. W takim stanie rzeczy, o ile zechcemy również i naukę historyczną traktować historystycznie, wszelkie wyrazy podziwu nad dziełem Smolki mogą na nas robić wrażenie jakby zamiaru obrony przeżytych już pozycji przed czymś na co czekamy, a co się jeszcze nie pokazało.

„Posłowie”, pióra wydawcy A. Gieysztora, staje obok innych ambitnych prób odkrywczego spojrzenia na postać i dzieło Smolki. Autor „Posłowia” formułuje cały szereg spostrzeżeń i uwag, które zasługują na przeczytanie i zastanowienie. Nie są to zdawkowe, chłodne zdania, które nie prowadzą do nikąd, lecz są to próby zrozumienia Smolki, które nas zbliżają do tego celu. Nawet ktoś nie zgadzający się z którymś z nich nie powinien zapominać o takim ich charakterze. Gieysztor pisze już drugą tego typu rozprawę na temat „mitologizowanej” postaci historyka; pierwsza dotyczy postaci T. W o j c i e c h o w s k i e g o z okazji III wydania jego *Szkiców*. W obu pracach stoi on daleko od hagiograficznej mitologizacji i skłania się widocznie do bardziej szczerzego i zarazem głębszego stosunku do tych postaci. Chciałoby się takie stanowisko zalecić usilnie hagiografom.

Na tym miejscu chciałbym podjąć dyskusję tylko co do trzech zagadnień. Jest to najpierw kwestia teorii syntezy historycznej (s. 652 n.). Kwestia to kapitalna, jeśli chcemy się wbrew starym wpływom Smolki zdobyć z powrotem na zdolność do syntezy. Jak wiadomo, mamy w tym kierunku pewną naszą literaturę, która wszakże doprowadziła raczej do wykoślenia charakteru wręcz przeciwnego, co zresztą wcale nie znaczy, aby należało tę literaturę potępić, czy też na niej się nie uczyć. Boję się, że zbyt mało znajdzie się odcięcia od tych prób w stwierdzeniu, zresztą w abstrakcji dość bezspornym, że „synteza posuwa się naprzód w poważnej mierze za cenę uo-

gólnień pochodzących spoza warsztatu prowadzonej właśnie obróbki źródeł i spoza ustaleń izolowanych faktów". Problem zapewne polega na tym, które z tych pozawarsztatowych uogólnień wiodą do zdrowej syntezy, a które do wykolejeń. Są też rozmaite rodzaje syntezy, których nie należy stawiać na jednej i tej samej płaszczyźnie. W końcu kwestia indukcji. Oczywiście pod koniec wieku XIX, gdy jeszcze chciano znać tylko jedną logikę wspólną dla fizyki i historii, pisano niejednokrotnie o indukcji w historii. Dzisiaj jest to już chyba anachronizm, gdyż historia czy też nauki społeczne tworzą prawa w inny sposób od nauk przyrodniczych, a ponadto nie wszystko w historii zmierza do wykrycia praw (kwestia idiografizmu, por. niżej). Rzecz prosta, nie ma miejsca w tego rodzaju „posłowniu” na głębsze rozpatrzenie podobnie trudnych zagadnień, ale, jak chcę zaznaczyć, uwagi Gieysztora zaciekawiają.

Drugie zagadnienie, to kwestia idiografizmu, która została o tyle poruszona mimochodem, że czytelnik mógłby zrozumieć, że autor uznaje negację wszelkich praw historycznych przez Smolkę za jakiś typowy idiografizm (s. 654).

Wreszcie problem „swoistego polskiego rodzaju opowiadającej prozy historycznej” tak Szajnoch, jak i Kraszewskiego (s. 657). Wydawca uważa, że Smolka przez swoją formę zamierzał „wyrwać światowi fikcji literackiej temat historyczny i zapewnić mu przy tym czytelników”. Jeżeli istotnie to zamierzał, to należałoby dodać, że mu się to zadanie nie powiodło. Kraszewskiego, nie wspominając już Sienkiewicza czy też innych naszych powieściopisarzy historycznych, czyta szeroka publiczność ciągle aż do dzisiaj i dzieło Smolki nie tworzy prawdziwej konkurencji dla powieści historycznej. Natomiast w historii nasuwa to problem formy. Wydawca zamieścił w swym „Posłowniu” niejedną uwagę krytyczną wobec formy Smolki, własną i cudzą. Rzeczywiście problem to obszerny. Najpierw sama forma zastosowana przez Smolkę nie wydaje mi się zbyt piękna, a raczej sztuczna. W każdym razie naśladowcy Smolki, wysilający się na literacką formę, czasami wprost utrudniają zrozumienie myśli. Idzie o to czy forma ma wyłącznie służyć treści, czy też w jakiejś mierze się usamodzielnia. Ale ważniejszy jest jeszcze wiążący się z kwestią formy problem historii opowiadającej. Oczywiście że „historiografia opowiadająca, nie związana wymogami warsztatu krytycznego” (s. 657) stanowi zjawisko skrajne, nie wyczerpujące kwestii. Dzisiaj jest to kwestia *histoire historisante*, historii historyzującej, to znaczy takiej, która gwoi opowiadania zajmuje się zewnętrżnościami wydarzeń historycznych, jeśli mi wolno jeszcze raz rzucić sformułowanie niepodległe ścisłej interpretacji. Wygląda, że wyżej przytoczone zarzuty Fuetera braku zmysłu historycznego u Waitza mają coś wspólnego z nowszym wystąpieniem przeciw historii historyzującej. O ile uchwycimy jakiś szczęśliwy punkt, to nawet i kwestia „syntezy” historycznej zostanie przez to rozwiązana. Oczywiście tak w „Posłowniu”, jak i w ramach niniejszych uwag braknie nam miejsca na gruntowniejsze omówienie tych domniemych zagadnień. Zdaje się nam jedynie, że myśl nasza winna się odrywać od wzoru, który nam dał Smolka. Wzór ten nie był wcale ani najlepszy ani też nawet całkiem zdrowy.

JAN ADAMUS (Łódź)

Ernst Fischer, *Die Hauszerstörung als strafrechtliche Massnahme im deutschen Mittelalter*, Stuttgart 1957, W. Kohlhammer, s. 186.

Niszczanie domów sięga swymi korzeniami czasów prehistorycznych — jako instytucja prawna jawia się ono już w starożytności. Szczególnie jednak rozpowszechnione było w średniowieczu i to przeważnie na Zachodzie. W nowszych czasach stało się ono już zjawiskiem niezwykle rzadkim.